# Pustelnik - część 3 — Falcor

**Od autora:** Wyobraźcie sobie, że kładziecie się spać w waszym pokoju, w waszym łóżku, zamykacie oczy... a kiedy je otwieracie, to jesteście na Księżycu. Niemożliwe? Akurat.

---

- No to zobaczmy, co się stanie – powiedział do siebie, zwalniając hamulec i wciskając do oporu pedał gazu.

Cobra wyrwała do przodu, momentalnie nabierając prędkości. Teren po którym pędziła był bardzo równy, specjalnie przygotowany przez Mata tak, aby zbyt wcześnie nic nie stało się z samochodem. Na końcu tej drogi znajdował się wielki, prawie prostopadłościenny głaz. To on był celem i końcem tej przejażdżki.

Pomysł aby robić tego typu rzeczy, zrodził się w głowie Mata jakiś tydzień temu przez zupełny przypadek. Ot łażąc sobie po dobrze znanych skałkach nad swoją siedzibą, w pewnym momencie omsknęła mu się noga i spadł kilkanaście metrów w dół. Przez moment czuł, jakby całe jego ciało zesztywniało, ale po chwili wszystko było takie samo jak przedtem. Spojrzał w górę i wymachując kończynami, jeszcze raz sprawdził, czy nic mu nie jest,. Zdawały się być w porządku. Skafander też wyglądał na nienaruszony.

- „Może to przez niską grawitację?" – pomyślał ale wiedział, że nawet w dużo mniejszym ciążeniu nie powinien wyjść z tego bez szwanku.

Wrócił do domu, jednak w jego głowie zaczęła świtać pewna myśl. Hisaki mówił mu, że wszystko co ich otacza jest mocniejsze, wytrzymalsze i zapewniające bezpieczeństwo. Mat wstał z kanapy i poszedł zagotować wodę. Gdy doszła do stanu wrzenia, włożył do niej palec. Wrzasnął i zaraz go wyciągnął. Palił cholernie... ale tylko przez kilkanaście sekund. Po chwili ból ustał, a skóra na nim wyglądała tak samo jak przed włożeniem do wody.

Po tym doświadczeniu postanowił zaryzykować dużo bardziej. Ubrał skafander i wyszedł na zewnątrz, z zamiarem otwarcia wizjera na krótką chwilę. Szybko się okazało, że nie był w stanie tego zrobić. Wizjer był niczym przyspawany do hełmu. Co dziwne, gdy tylko znalazł się z powrotem w bezpiecznej w śluzie, otworzył go jednym palcem. Teraz był już niemal pewien – coś nie pozwalało mu zrobić sobie krzywdy. Ośmielony tą myślą postanowił przeprowadzić ostateczny eksperyment.

Cobra przekroczyła już grubo ponad trzysta na godzinę i wszystkie cztery koła dotykały gruntu tylko sporadycznie. Mat był zdeterminowany, choć nie zamierzał umierać. Czy na pewno? Czy człowiek, który faktycznie by tego nie rozważał, zdecydowałby się na tego typu ryzyko? A może podświadomie dążył do zakończenia tutaj swojego pobytu? Tak czy inaczej głaz był już zbyt blisko, by zrobić cokolwiek – gwałtowne hamowanie, czy zmiana kierunku, tak samo doprowadziły by do wypadku. Samochód wbił się w wielki, kamienny blok z ogromną siłą, rozrzucając w koło swoje wnętrzności, a Mat poczuł jak całe jego ciało zmienia kształt wraz naciskaniem na nie różnych przedmiotów. Ból był potworny. Po chwili nie czuł już nic.

Gdy otworzył oczy ujrzał tylko czerń.

- „Umarłem?” – pomyślał, ale szybko spostrzegł, że nadal ma na sobie kombinezon i leży spoglądając w kosmos.

Powoli wsparł się na rękach i usiadł. Na głazie widać było jakby długą, ale stosunkowo wąską szramę, a dookoła rozrzucone były części samochodu Hisakiego. Skafander był jednak nienaruszony.

- Cholera! Chyba jestem nieśmiertelny – warknął niemalże z zawodem. – Jeżeli nikt się tu więcej nie zjawi to mam przerąbane. Tylko ja i kupa skał! – Popatrzył przed siebie. – I pieprzony kawał drogi do domu.

Świadomość nieśmiertelności była przygnębiająca.

- „Kto by przypuszczał, że będę miał doła z powodu czegoś, za co niejeden dałby się zabić?” – ta myśl od kilku godzin przewracała się w głowie Mata i kolejna filiżanka herbaty nie potrafiła jej zagłuszyć.

Podczas swego pobytu na tym pustkowiu, na wiele rzeczy spojrzał już z innej perspektywy. Ba, nie tylko spojrzał - wiele osób spogląda pod różnymi kątami na wiele spraw – on doświadczał tej inności. Wyobrażać sobie coś, a przeżyć to na własnej skórze to dwie zupełnie odmienne sprawy.

Tak pożądane przez wielu życie wieczne, tutaj nagle straciło swój blask i zaczynało być problemem. Ludzie zazwyczaj chcą żyć wiecznie, bo mają jakieś plany, marzenia, które trudno zrealizować mając tylko jedną, stosunkowo krótką szansę. Mat nie miał planów. Od paru tygodni zaczynał powoli nudzić się na tym globie, gdzie w sumie nie było zbyt wiele do roboty. Sam już solidnie wypoczął, naładował swoje „akumulatory” energią życiową, wspiął się na wiele skał, nauczył kilku nowych rzeczy. Teraz potrzebował nowych celów i to ambitniejszych niż poznanie stu jeden sposobów na smażenie naleśników. Księżyc mu jednak takich możliwości nie dawał. Utknął w kompletnej pustce, tak jakby zawisł w próżni. Tylko on i... nic.

Oczywiście miał prawo podejrzewać, że kiedyś zjawi się tu ktoś aby go zastąpić, a on wróci do domu, ale w sumie nie miał żadnej gwarancji zaistnienia takiego zjawiska. Jak to mówią – wszystko się kiedyś kończy – więc zapewne istniało jakieś tam prawdopodobieństwo, iż będzie ostatnim z księżycowych pustelników. W takich okolicznościach do niedawna miał jeden jedyny pewnik – śmierć. Jeszcze tydzień temu była pewniejsza od podatków, których przecież tutaj nie płacił, pomimo korzystania z różnych dóbr. Okazało się jednak, że i na nią nie może już liczyć. I co teraz? Ma tak siedzieć w fotelu do końca świata. O ile ten koniec cokolwiek zmienił by w jego położeniu.

Zupełnie nie wiedział jak poradzić sobie z tą nieśmiertelnością. Zawsze uważał, że w istnieniu powinien być jakiś wyższy cel niż sama wegetacja. To właśnie takiemu podejściu zawdzięczał swój nienajlepszy humor na Ziemi, ale trzymał się go twardo. Tam, a teraz także tutaj, potrzebował wyzwań z którymi mógłby się zmierzyć, oddalających się perspektyw, które przy odrobinie szczęścia mógłby dogonić, czy marzeń których zrealizowanie było mało realne, ale tutaj nie było warunków, by nawet marzyć o takich marzeniach. W reszcie, ta myśl wywołała w nim pewien szok, potrzebował ludzi. Nie musiał ich lubić, ale perspektywa kłótni także jawiła się interesująco na tle tej bezosobowej szarości.

- „A więc do tego już doszło” – westchnął głęboko i jeszcze bardziej zapatrzył się w nic przed sobą. – „Ostatnio, gdy mogłem z kimś rozmawiać to unikałem wszystkich jak ognia, a teraz mam ochotę na pogawędkę. Kto by pomyślał?”

Mat miał już dosyć bycia outsiderem. Trzymanie się na uboczu czasami jest nawet wskazane, ale kompletna izolacja to już zupełnie co innego. Człowiek potrzebuje innych ludzi. Potrzebuje się z nimi porównywać, starać się gonić tych „lepszych” i pochwalić się czasem przed tymi „gorszymi”. Potrzebuje odmiennych zdań i spojrzeń na życie. Potrzebuje by czasami ktoś poklepał go po plecach. Kiedyś kimś takim był Hisaki.

Od czasu utraty Cobry w „wypadku”, zaopatrywanie się w żywność oraz inne niezbędne rzeczy, stało się znowu dość uciążliwe. Nowy samochód był jednak dopiero we wstępnej fazie montażu, który szczerze mówiąc, nie szedł Matowi za dobrze. Miał jednak sporo czasu oraz zupełnie nic innego do roboty, więc po każdym wściekłym komentarzu na temat złośliwości części i beznadziejności narzędzi, robił sobie przerwę, po czym wracał do konstruowania wehikułu.

Teraz nawet ekstremalne wspinanie się po skałach, nie miało już takiego uroku. Wiszenie na skalnej półce ze świadomością, że tak naprawdę nie ma się czego bać, znacznie umniejszała atrakcyjności tej formy spędzania wolnego czasu. W tych okolicznościach, ponowna konieczność długich spacerów do „centrum dystrybucyjnego”, pozwalała jakoś zapchać czas i była nawet pewnym plusem.

Po dotarciu na miejsce Mat spojrzał na stos skrzynek, machnął ręką, po czym usiadł na jednej z nich. Nie musiał się spieszyć. Ooo, zdecydowanie jakikolwiek pośpiech był niewskazany. Jeśli za szybko wróci do domu, to znowu będzie nic nie robił, a była to czynność której szczerze nienawidził. Jakiekolwiek zajęcie należało wykonywać powoli, niemalże je kontemplując, w nadziei że uda się ukraść nieco czasu.

Tym razem Mat kontemplował skrzynki. Niektóre były białe (to te z jedzeniem), inne zielone (z rzeczami ogólnoprzydatnymi, jak mydło czy płyty dvd), a jeszcze inne czerwone (z częściami do samochodu). Czasami trafiały się też niebieskie, które zwykle nie pasowały do żadnej kategorii i ciężko było sklasyfikować ich zawartość. Dziś ciekawość, choć w tym przypadku trudno było mówić o czymś więcej niż łypnięcie okiem, wzbudziła w nim całkiem spora ilość skrzynek koloru białego. Nie potrzebował ich aż tyle, a „magazynier”, kimkolwiek był, zwykle wydawał się dość skrupulatny w przydzielaniu zasobów.

Po chwili dojrzał też smugi na szarym pyle. Tak jakby ktoś przesuwał skrzynki, a przecież ślady zawsze znikały. Zaczął się już podnosić, aby przyjrzeć się temu odkryciu, gdy poczuł mocne uderzenie w hełm.

Zgłupiał! Nie bardzo dochodziło do niego co się w zasadzie stało. Powoli odwrócił się i ku jeszcze większemu zaskoczeniu, ujrzał przed sobą postać w białym skafandrze. Postać trzymała kawał jakiegoś metalowego kija. Drugi, ułamany koniec leżał na ziemi. Przez moment patrzyli się w swe nieprzeniknione wizjery, po czym Mat lekko wyciągnął rękę. Przybysz nie czekał co będzie dalej, tylko nagle skoczył do tyłu, odwrócił się i dość niezgrabnymi susami zaczął się pośpiesznie oddalać.

Mat wolno analizował sytuację. Przypomniał sobie jak się tu znalazł, jak trafił na Hisakiego oraz co zawierała „Księga Pustelników". Popatrzył jeszcze raz na oddalającą się postać.

- Kretyn – powiedział, z politowaniem kiwając głową.

Było już grubo po południu. Czas dłużył się straszliwie. Dwie krótkie drzemki, które miały go trochę przyspieszyć, już się skończyły i organizm wypoczął na tyle, że nie chciał więcej zapadać w sen.

Mat leżał w niewielkim kraterze z zapasami, opierając głowę o jedną ze skrzynek. Już trzeci dzień przychodził tutaj i czatował na tego kogoś, kto przyłożył mu kijem w głowę. Na razie nie ujrzał nic nowego. Skrzynki były nie ruszone, co mogło świadczyć o tym, że ten drugi w końcu tu przyjdzie uzupełnić zapasy.

A więc po paru ładnych miesiącach samotności w końcu doczekał się towarzystwa. Dziwnego towarzystwa, które na dzień dobry dało mu w łeb. Oczywiście mógł to być ktoś z poza tej całej pustelniczej historii, ale miał identyczny skafander, przychodził po zapasy do tego krateru i ogólnie wpisywał się w schemat przybyć i odjeść. Zresztą kto inny miałby to być?

Nagle cień padł na część kombinezonu Mata, który podniósł się z ociąganiem i odwrócił. Kilka metrów od niego ujrzał, jak przypuszczał, tego samego gościa co poprzednio. Powoli uniósł do góry prawą rękę w geście przyjaźni.

- „Ciekawe czemu czuję się jak kretyn z tą łapą w górze?" – zastanawiał się.

Humanoid odpowiedział takim samym gestem. Mat lekko zamachał. Miał nadzieję, że to może być zabawne i ułatwi nawiązywanie znajomości. Postać z naprzeciwka nie zareagowała.

- Czy mnie słyszysz? – zapytał. – Halo! Rozumiesz co mówię?

Przyjrzał się panelowi na kombinezonie przybysza.

- „Aha, masz wyłączone radio."

Starał się podejść do postaci, aby wcisnąć odpowiedni przycisk, ale ta cofnęła się gwałtownie.

- „I co teraz?" – Przez chwilę układał jakiś szybki plan.

Machnął ręką, dając znać, by jego nowy „kolega" szedł za nim. Zrobił parę kroków. „Kolega" wyraźnie się wahał. Mat jeszcze raz uniósł rękę w geście przyjaźni, jeszcze raz machnął „idź za mną", po czym powoli ruszył w kierunku swego domu.

- „A niech cię... Nie pójdziesz to nie idź. Całymi dniami człowiek się tu kisi, a potem spotyka jakiegoś przewrażliwionego kretyna" – pomyślał, a na głos burknął, choć nikt przecież nie mógł go usłyszeć. –

Jeśli myślisz, że spotka cię z mojej strony coś gorszego, niż siedzenie samemu czterysta tysięcy kilometrów od najbliższej cywilizacji, to radź sobie sam.

Odszedł już dobre sto metrów kiedy zauważył, że przybysz jednak idzie za nim. Dwadzieścia minut później dochodzili do siedziby Mata. Przed śluzą znowu pojawił się problem z zaufaniem do gospodarza. Kolejne machnięcia ręką, a także chyba narastająca ciekawość ze strony „kolegi", przesądziły w końcu o sukcesie.

Gdy tylko drzwi śluzy się zamknęły i wypełniła się normalnym powietrzem, Mat zdjął hełm i z uśmiechem oznajmił.

- Jak zdejmiesz ten kask to sobie pogadamy.

Przybysz jeszcze przez moment wahał się, jakby nie był pewny czy już jest bezpiecznie, ale po chwili sięgnął do zapięć kombinezonu. Rozległ się lekki syk powietrza i hełm został zdjęty.

Mata zamurowało. Jego „kolega" okazał się być ciemnoskórą dziewczyną.

- Hej, nie tak mocno! – zdążył jeszcze krzyknąć Mat, ale było już za późno.

Zresztą niepotrzebnie krzyczał – i tak nikt nie mógł go tu zrozumieć. Lepiej gdyby złapał ją za rękę, zanim przekręciła klucz tak bardzo, że struna pękła. Teraz czekała ich przerwa w nauce gry na gitarze. Mat wziął instrument do ręki, wskazał palcem na struny biegnące nad gryfem, lekko pokręcił kluczem i pokiwał palcem.

- Nie tak mocno – akcentował powoli. – Za mocno. Trzeba delikatnie. Z czuciem.. – Powolutku przekręcił klucz, lekko uderzył jedną ze strun i dodał, unosząc palec w geście „ok". – O! Tak trzeba. Podkręcasz tylko do uzyskania właściwego brzmienia.

Popatrzył na ciemnoskórą dziewczynę siedzącą obok. Uśmiechała się przyjaźnie, nieco zawadiacko, jak ktoś kto dostał właśnie nową zabawkę na której może poszaleć. Wbrew obiegowym poglądom o niezbędności komunikacji werbalnej, jej oczy wyraźnie wskazywały na to, że rozumie co Mat właśnie powiedział.

Uczył ją gry na gitarze. Był to przedmiot, który już pierwszego dnia, gdy go odwiedziła, wzbudził jej zainteresowanie i zaraz po tym, jak się do siebie nieco przyzwyczaili, poprosiła Mata aby nauczył ją grać. I tak przesiadywali całymi godzinami w którymś z „domów" z gitarą opartą o uda. Chociaż z tego wszystkiego więcej wynikało różnych prób komunikacji i poznania siebie nawzajem, to stanowiło to coś co bardzo ich do siebie zbliżyło. Teraz jednak trzeba było wymienić pękniętą strunę. Mat sięgnął do pokrowca w którym nosił kilka przydatnych gitarowych rzeczy.

– „W sumie to i tak były zużyte struny. Już dawno powinienem je wymienić. Nowe by tak łatwo nie

pękły” – pomyślał, wyciągając opakowanie z odpowiednim oznaczeniem.

Uwielbiał te spotkania. Na reszcie był tu ktoś, jakaś istota ludzka z którą można było się spotkać. W dodatku traf chciał, że „przysłali” mu dziewczynę. Zupełnie się tego nie spodziewał, chociaż przecież w „Księdze pustelników”, było wymienionych parę kobiet.

Komunikacja między nimi szła nad wyraz gładko. On nie rozumiał ani słowa z jej języka, a ona nie mówiła ni w ząb po angielsku. Szybko przekonali się jednak, że gestem czy intonacją głosu, można przekazać dużo więcej niż słowem. W zasadzie niedogodności dotyczyły tylko szczegółów, takich jak to o której dokładnie mają się jutro spotkać. Nie rozumiejąc swej mowy, nie potrafili też opowiedzieć sobie, kim byli i jak żyli wcześniej. Powodowało to, że Mat miał uczucie, jakby oboje urodzili się dopiero tutaj i nie mieli żadnej przeszłości. Nie był nawet pewien ile czasu jego koleżanka tutaj przebywa. Pokazywała mu co prawda sześć palców, ale czy były to dni, tygodnie, czy miesiące, trudno mu było powiedzieć.

Z tego co jakoś udało mu się zrozumieć, to miała na imię Mapedo i pochodziła z Afryki. Nie mógł jednak odgadnąć z jakiego państwa, bo jego nazwa w jej języku była tak dziwaczna, że z niczym mu się nie kojarzyła. Zresztą nie był pewien czy Mapedo nadal mieszka w Afryce. Kilka faktów wskazywało na to, że raczej mieszkała tam kiedyś. Miała bowiem koszulkę z Sorbony oraz umiała chyba trochę mówić po francusku. Możne nawet umiała dobrze mówić po francusku, ale Mat zupełnie nie znał tego języka, więc ciężko mu było to jednoznacznie stwierdzić. Poza tym znała się na obsłudze kombinezonu, komputera, kuchenki i innych urządzeń, których w relacjach telewizyjnych z Czarnego Lądu raczej nie widywał. A może nauczyła się ich używać już tutaj?

Były to jednak mało znaczące detale. Ważne było to, że razem siadywali na podłodze i uczyli się grać na gitarze.

To kim się stał, kim teraz jest, dotarło do Mata z pewnym opóźnieniem. Był Hisakim. Oczywiście nie dosłownie, ale aktualnie to w jego rolę się wcielił. Był już zagubionym przybyszem, uczniem Japończyka (tak, dopiero teraz zrozumiał – był kimś w rodzaju ucznia, któremu tamten przekazywał pałeczkę), a teraz wcielał się w rolę nauczyciela. Życie zatoczyło krąg. Zawsze zataczało, tylko tutaj bardziej się to czuło.

Razem z Mapedo wychodzili na wyprawy w góry, razem grywali na gitarze, razem starali się złożyć samochód i razem malowali. Malowanie było tym co Mapedo włożyła w ten pobyt od siebie. W „domu” miała sporo swoich prac rozwieszonych na ścianach. Tutaj każdy „uczeń” wnosił coś, czego mógł nauczyć „mistrza”. Tak jak rodzice, którzy dowiadują się wielu nowych rzeczy, głównie o sobie, przez wychowywanie swojego dziecka. Wszystko co działo się na Księżycu stanowiło pomniejszone życie na Ziemi, jakby ktoś zamknął kilku ich mieszkańców w szklanym mrowisku, w którym szkło służyło jednak głównie do obserwacji samego siebie. Poprzez te wszystkie wydarzenia, Mat poznał lepiej swoje możliwości oraz, o ile to możliwe, także życie. Zaczynał znajdować w tym sens, choć nie bardzo potrafił go wyjaśnić. To było raczej przeczucie, przeradzające się w pewność, że wszystko zaczyna być tak jak powinno.

Ostatnio zaczął czuć też coś jeszcze.

Cobra była już prawie gotowa – po siedmiu miesiącach współpracy z Mapedo, udało im się zbliżać do końca montażu. Mata męczyła jednak myśl co będzie potem? W sumie „przekazał" jej już większość tego, co wiedział na temat pobytu na Księżycu. Ostatni trybik stanowił ów pojazd. Gdy już będzie umiała się nim poruszać, nie pozostanie mu nic więcej do roboty. Mapedo tryskała humorem, choć z początku była nieco osowiała i bojaźliwa. Podobnie jak on, gdy tu przybył. Teraz już stanęła na nogi. Jego rola dobiegała końca.

- „To samo musiał czuć Hisaki" – pomyślał Mat przyglądając się ciemnoskórej koleżance, która mocowała jeden z foteli. – „Pewnie niedługo będzie trzeba odejść."

Sama myśl o odejściu nie była straszna. Tutaj już nie był potrzebny, ani jej, ani sobie. Szkoda mu było trochę rozstawać się z Mapedo, tak samo jak ciężko przyszło zaakceptować nieobecność Hisakiego. Oddzielne obawy stanowiła kwestia tego co czeka go po zniknięciu stąd? Po tym jak nagle znalazł się na Księżycu mógł spodziewać się wszystkiego, od teleportacji na Marsa, przez odwiedziny sąsiedniej galaktyki, do... po prostu zniknięcia.

Nie było na to jednak rady i musiał pogodzić się z nadchodzącą przyszłością. Tak dopełniał się cykl.

Mapedo jeszcze raz przeleciała palcami po gryfie, mocniej uderzyła przy „e" i skończyła grać. Była wyraźnie zadowolona z siebie.

- Bardzo dobrze – pochwalił ją Mat.

Jej gra pozostawała jeszcze daleka od perfekcji, ale większość prostszych utworów wychodziło wcale nieźle. Musiała tylko ćwiczyć. Na dzisiaj miała już jednak dość, a i spotkanie zbliżało się do końca.

Jeszcze dopiła herbatę, zamieniła kilka nieskładnych zdań z Matem, po czym skierowała się do śluzy i zaczęła zakładać kombinezon.

Mat udał się do swojego pokoju. Po chwili wrócił trzymając w dłoniach „Księgę Pustelników". Teraz były w niej i jego notatki. Podał ją Mapedo po czym powiedział:

- Teraz jest twoja.

Ciemnoskóra kobieta spojrzała na niego nieco dziwnie. Nie bardzo chciała przyjąć księgę, ale dał jej gestem do zrozumienia, że nie ustąpi – musiała ją wziąć.

- I jeszcze coś – dodał trochę jakby do siebie. – Weź samochód. – Mapedo patrzyła na niego, trochę nie rozumiejąc. – Samochód! Weź go! – dla pewności Mat wskazał palcem przez okno śluzy na samochód. – Cobra! Ty! Dom! – wydawało mu się, że ona go rozumie, ale trochę obawia się tego co powiedział.

Mapedo nie była pewna, czy faktycznie ma wziąć wóz. To była taka niecodzienna prośba. Samochód zawsze zostawał u Mata. Ten jednak nalegał. W końcu przytaknęła skinieniem głowy. Założyła hełm, Mat jeszcze lekko pocałował ją w policzek na pożegnanie i wyszedł ze śluzy, zamykając drzwi. Po chwili otworzyły się te zewnętrzne. Dziewczyna stała przez moment wpatrując się w niewielką, okrągłą szybkę z twarzą Mata, po czym wyszła na zewnątrz.

Cobra odjechała.

Teraz przyszedł czas, aby posprzątać w mieszkaniu. Tak jak wcześniej przyszedł czas na przekazanie księgi i samochodu. Tak jak kiedyś zrobił to Hisaki. Mat czuł to, co jak podejrzewał, czuł wtedy Japończyk. To było bardzo dziwne ale dominujące uczucie, że należy wszystko doprowadzić do końca. A koniec się zbliżał. Był niemal namacalny, tak jak zaplanowany na daną godzinę pociąg.

Kilkadziesiąt minut później Mat położył się spać. Długo jednak nie mógł zasnąć. Myślał o tym wszystkim co go otaczało, co mu się przydarzyło. Dlaczego akurat jemu. Myślał gdzie jest teraz Hisaki i jak to będzie nie malować więcej z Mapedo. Przewracał się ciągle z boku na bok, obrazy przetaczały się przez jego głowę jak lawina, a czas płynął. W końcu po kilku godzinach zmęczony umysł dał za wygraną i się wyłączył. Mat usnął.

Poczuł ciepło na policzku. Było przyjemne. Jedno z tych odczuć o których na co dzień się zapomina, ale czasami, gdy po długiej zimie niespodziewanie się pojawią, potrafią sprawić, że w danej chwili nie pragnie się od życia niczego więcej.

Ciepło nie miało prawa tu być. Przynajmniej do tej pory. Teraz do budzącego się umysłu Mata zaczynały docierać wspomnienia poprzedniego dnia. Pożegnał się i usnął, a teraz... teraz czuł ciepło promieni słońca. Miał nadzieję, że to ciepło promieni słońca. Chwilę wahał się, czy otworzyć oczy w obawie przed tym co może ujrzeć, ale przecież kiedyś musiał je otworzyć. Trzeba się w sobie zebrać i mieć to za sobą.

Tak to było słońce. Wpadało do pokoju przez spore okno. Rozejrzał się powoli. Był u siebie. W swoim ziemskim domu. W swoim ziemskim pokoju. Odetchnął głęboko.

- „Wróciłem."

Przez moment nie myślał o niczym. Patrzył się w sufit i mocno, spokojnie wciągał powietrze. To było jak katharsis. Jak gdyby na nowo się narodził w znanym już sobie miejscu. Leżał tak kilkadziesiąt minut, zanim zaczął zastanawiać się nad innymi sprawami. To co działo się na Księżycu, było już istotne tylko ze względu na Mapedo.

- „Ciekawe co tam u niej?"

Dla niego ten rozdział się skończył. Teraz trzeba było wrócić do ziemskiego życia. Miał na to dość sił.

- „Ale w zasadzie co słychać na Ziemi?” – zastanowił się. – „Jaki dzień dzisiaj mamy?”

Wsparł się na łokciach i uważniej rozejrzał po pokoju.

- Nic się tu nie zmieniło – mruknął do siebie, ale nagle ta myśl powróciła do niego z dużo większą siłą. – „Nic się tu nie zmieniło?!”

Gwałtownie wstał z łóżka. Wymagało to sporego wysiłku. Niewiele brakowało, by się przewrócił, ale w ostatniej chwili chwycił ręką szafkę. Zrobił kilka ciężkich kroków do niewielkiego telewizora i włączył go. Wziął pilot i ostrożnie wrócił do łóżka.

- „O już dużo łatwiej” – zdziwił się widząc, że wkłada w to dużo mniej wysiłku, niż w pierwszą stronę.

Podłożył sobie poduszkę, usiadł wygodnie i ustawił jakiś kanał informacyjny. Wszystko zdawało się coraz mniej ciężkie, ale jednocześnie, przy każdym ruchu, zaczynało go wszystko boleć. Poruszał delikatnie rękami i nogami.

- „Dziwne. Jakbym miał zakwasy po ćwiczeniach.”

Jego uwagę od własnego ciała odwróciła data, która mignęła na ekranie.

- „Niemożliwe!” – szybko przełączył na inny kanał. Jeszcze na inny. – „Nic się nie zmieniło. To... to dzisiaj.”

Nie bardzo wiedział co o tym myśleć. Wyglądało na to, że te wszystkie miesiące jakie spędził na Księżycu, zupełnie nie miały znaczenia na Ziemi. Tak jakby nigdy nie istniały. Ot położył się wczoraj wieczorem, usnął i... jest dzisiaj. Na nocnym stoliku była nawet niedojedzona poprzedniego dnia kanapka.

- To nie mógł być tylko sen? – szepnął. – W każdym razie nie był większą fantazją, niż to gdzie jestem teraz.

Koniec

Więcej opowiadań na stronie: http://bambararowo.blogspot.com/

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Falcor, dodano 06.11.2014 09:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.